

## Pion i poziom

Lionel opowiedział im, jak umarła jego matka.

Poprosiła o przybory do makijażu. Lionel trzymał lusterko.

– To potrwa jakąś godzinę – powiedziała.

Podkład, puder, kredka do brwi, tusz do rzęs, konturówka, szminka, róż. Szło jej opornie i ręka trochę jej się trzęsła, ale efekt końcowy nie był zły.

– Nie zajęło ci to godziny – powiedział Lionel.

Odpowiedziała, że nie to miała na myśli.

Miała na myśli umieranie.

Zapytał, czy ma zawołać ojca. Swojego ojca, jej męża, jej pastora.

Odpowiedziała: „Po co”.

Pomyliła się nie więcej niż o pięć minut.

Siedzieli za domem – za domem Lorny i Brendana – na małym tarasie, z którego rozciągał się widok na wejście do Zatoki Burrarda i światła Point Grey. Brendan wstał, żeby przestawić zraszacz na inny kawałek trawnika.

Lorna poznała matkę Lionela zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Siwowłosa, drobna, ładna kobieta obdarzona wielkim urokiem osobistym, która przyjechała do Vancouver z miasteczka w Górach Skalistych specjalnie na gościnne przedstawienie Comédie Française. Lionel zapytał Lornę, czy nie poszłaby z nimi. Po przedstawieniu, gdy przytrzymał matce niebieski aksamitny płaszcz, ta powiedziała do Lorny:

– Ogromnie się cieszę, że mogłam poznać *belle amie* mego syna.

– Nie przesadzajmy z tą francuszczyzną – skomentował Lionel.

Lorna nie była nawet pewna, co to znaczy. *Belle amie*. Piękna przyjaciółka? Kochanka?

Lionel spojrział na Lornę ponad głowę matki, unosząc brwi. Jakby chciał powiedzieć: „Nie biorę odpowiedzialności za nic, co sobie wymyśliła”.

Lionel był kiedyś studentem Brendana. Cudowne dziecko, szesnastolatek na uniwersytecie. Najpiękniejszy matematyczny umysł, jaki Brendan kiedykolwiek spotkał. Lorna zastanawiała się, z perspektywy czasu, czy Brendan, tak niesłychanie życzliwy wobec utalentowanych studentów, trochę nie koloryzował – również z powodu takiego, a nie innego rozwoju wydarzeń. Brendan zostawił za sobą cały ten irlandzki kram – rodzinę, Kościół, sentymentalne piosenki – ale miał słabość do tragicznych historii. I faktycznie, wkrótce po olśniewającym starcie Lionel przeszedł coś w rodzaju załamania nerwowego, musiał pójść do szpitala i zniknął Brendanowi z oczu. Aż do chwili, gdy Brendan spotkał go w supermarkecie; okazało się, że chłopak mieszka jakieś półtora kilometra od ich domu, tu, w Północnym Vancouver. Na dobre porzucił matematykę i pracował w wydawnictwie Kościoła anglikańskiego.

– Wpadnij do nas – zaproponował Brendan. Lionel wydał mu się zabiedzony i samotny. – Poznasz moją żonę.

Był zadowolony, że ma teraz dom, do którego może kogoś zaprosić.

– Więc nie wiedziałem, czego się spodziewać – opowiadał później Lionel Lornie. – Uznałem, że możesz być okropna.

– Ale dlaczego? – zapytała.

– A bo ja wiem? Takie są żony.

Odwiedzał ich wieczorami, gdy dzieci były już w łóżkach. Drobne zakłócenia stanowiące część rodzinnego życia – płacz dziecka dobiegający z otwartego okna, narzekanie Brendana, że na trawniku walają się zabawki, które Lorna powinna była zebrać i zanieść do piaskownicy, dopytywanie się z kuchni, czy nie zapomniała kupić limonek do dżinu z tonikiem – każda z tych rzeczy powodowała u Lionela lekki dreszcz. Jego wysoka, szczupła sylwetka zastygała w napięciu, a na twarzy pojawiał się czujny, nieufny wyraz. Potrzebowali wówczas chwili milczenia, żeby powrócić do poziomu wartościowego międzyludzkiego kontaktu. Raz zanucił pod nosem „Małżeństwo, ach, małżeństwo, ach” na melodię *O Tannenbaum*. Uśmiechnął się przy tym w półmroku, a może tak się tylko Lornie wydawało. Takim samym uśmiechem, jaki widywała na twarzy swojej czteroletniej córki, Elizabeth, gdy ta, w miejscu publicznym, szeptem dzieliła się z nią swoim dziecięcym oburzeniem z jakiegoś powodu. Ukradkowym uśmieszkiem, w którym była satysfakcja, ale i lęk.

Lionel przyjeżdżał do nich na wzgórze na dużym, starym rowerze – w czasach, kiedy na rowerach jeździły praktycznie tylko dzieci. Przyjeżdżał w tym samym ubraniu, w którym chodził do pracy. Ciemne spodnie, biała koszula przybrudzona na mankietach i kołnierzyku, bezosobowy krawat. Kiedy wybrali się na spektakl Comédie Française, dodał do tego tweedową marynarkę,

zbyt szeroką w ramionach i z za krótkimi rękawami. Być może nie miał innych ubrań.

– Haruję za grosze – rzucił kiedyś. – I to nawet nie w winnicach Pana, tylko w diecezji arcybiskupa.

A przy innej okazji:

– Czasami mam wrażenie, że jestem postacią z Dickensa. A najdziwniejsze jest to, że ja nawet nie lubię Dickensa.

Mówiąc, zwykle przechylał głowę na bok i wpatrywał się w jakiś punkt tuż nad głową Lorny. Jego głos, cichy i płynny, chwilami pod wpływem zdenerwowania robił się wyższy. Wszystko wypowiadał lekko zdziwionym tonem. Opowiadał o biurze, w którym pracował, w budynku za katedrą. Wysokie, wąskie gotyckie okna, lakierowane drewno (żeby zachować kościelną atmosferę), wieszak na kapelusze, stojak na parasole (który z niewiadomych przyczyn napełniał go głęboką melancholią), sekretarka, Janine, i redaktorka kościelnej gazetki, pani Penfound. Roztargniony arcybiskup, pojawiający się z rzadka i tylko na chwilę, jak duch. Niekończąca się batalia o herbatę w torebkach między Janine, jej zwolenniczką, a panią Penfound, przeciwniczką. Każdy coś nieustannie podjadał i nigdy się nie dzielił. W przypadku Janine były to karmelki; sam Lionel wolał migdały w cukrze. Czym osładzała sobie życie pani Penfound, nie udało im się odkryć, ponieważ pani Penfound nie wyrzucała papierków do kubła na śmieci. Ale ona także ciągle coś ukradkiem żuła.

Wspominał też o szpitalu, w którym spędził trochę czasu; że jeśli chodzi o ukradkowe podjadanie, przypominał mu biuro. Tam też wszyscy się ze wszystkim kryli. Różnica polegała na

tym, że w szpitalu co pewien czas przychodzili jacyś ludzie, związywali go i wsadzali, jak to ujął, do kontaktu.

– To nawet było interesujące. Właściwie potwornie bolesne. Ale nie umiem tego opisać. To jest w tym wszystkim najdziwniejsze. Pamiętam, ale nie umiem opisać.

Przez te przygody w szpitalu, powiedział, ubyło mu sporo wspomnień. Ubyło szczegółów. Lubił, jak Lorna dzieliła się z nim swoimi historiami.

Opowiadała mu o swoim życiu przed małżeństwem z Brendaniem. O dwóch identycznych domach, stojących obok siebie w miasteczku, w którym dorastała. Biegł przed nimi głęboki rów, nazywany Strumieniem Farby, ponieważ woda, która nim płynęła, była zabarwiona pigmentami z przędzalni. Za domami ciągnęły się pola, gdzie dziewczynkom nie wolno było chodzić. W jednym domu mieszkała Lorna z ojcem, w drugim jej babcia, ciocia Beatrice i Polly, kuzynka.

Polly nie miała ojca. Tak jej powiedziano i Lorna przyjęła to bez zastrzeżeń. Polly nie miała ojca tak jak kot Manx nie miał ogona.

W pokoju gościnnym u babci wisiała mapa Ziemi Świętej, utkana z różnokolorowej wełny; były na niej zaznaczone miejsca wspomniane w Biblii. Babcia zapisała ją w testamencie szkółce niedzielnej Kościoła zjednoczonego. W życiu prywatnym cioci Beatrice nie było żadnych mężczyzn od czasu jej nigdy nie wspomnianego upadku; ciocia była tak wyczulona, tak przejęta swoim prowadzeniem się, że naprawdę można było uwierzyć w niepokalane poczucie Polly. Jedyne, czego Lorna kiedykolwiek dowiedziała się od cioci Beatrice, to to, że trzeba zawsze prasować

szew z boku, a nie od przodu, inaczej będzie widać ślad żelazka, i że pod przezroczystą bluzką zawsze lepiej nosić halkę, żeby nie było widać ramiączek stanika.

– A, tak. Tak – powiedział Lionel, wyciągając przed siebie nogi z zadowoleniem, jakby smakował tę opowieść po koniuszki palców. – A teraz opowiedz mi o Polly. Z takiego zacofanego domu, jaka ona jest?

Polly była w porządku, odpowiedziała Lorna. Energiczna, towarzyska, serdeczna, pewna siebie.

– Aha – powiedział Lionel. – To opisz mi jeszcze raz kuchnię.

– Którą?

– Tę bez kanarka.

– Naszą.

Mówiła, jak polerowała kuchenne szafki woskowanym papierem od chleba, żeby nadać im piękny połysk. Opisała poczerwiałe półki, na których stały patelnie, zlew i niewielkie lustro nad zlewem, z trójkątnym odpryskiem w rogu, i blaszaną miseczkę pod lustrem – zrobioną przez jej ojca – w której zawsze leżały grzebień, ucho od kubka i malutki wysuszony róż do policzków, należący pewnie kiedyś do jej matki.

Opowiedziała mu swoje jedyne zachowane wspomnienie o matce. Były razem w mieście w zimowy dzień. Między chodnikiem a ulicą leżał śnieg. Dopiero od niedawna znała się na zegarku i gdy spojrzała na zegar na budynku poczty, zorientowała się, że w radiu właśnie zaczyna się słuchowisko w odcinkach, którego codziennie z mamą słuchały. Poczuli bolesny niepokój, ale nie z powodu opuszczonego odcinka; martwiła się, co się stanie z ludźmi z tej historii, jeżeli radio nie zostanie włączone,

a ona z mamą nie będą słuhać. To było coś więcej niż niepokój, to było przerażenie na myśl, że coś może zostać utracone, nigdy się nie wydarzyć, z powodu zwykłej nieobecności lub przypadku.

Ale nawet w tym wspomnieniu matka była tylko biodrem i ramieniem w zimowym płaszczu.

Lionel powiedział, że ma równie mglisty obraz ojca, chociaż jego ojciec ciągle żył. Szelest komży? Zakładali się z matką, ile dni może upłynąć, zanim ojciec znowu się do nich odezwie. Raz Lionel zapytał matkę, czy wie, co mogło ojca tak zdenerwować; odparła, że naprawdę nie ma pojęcia.

– Może po prostu nie lubi swojej pracy – dodała.

– Dlaczego nie poszuka sobie innej?

– Może żadna mu nie odpowiada.

Wtedy Lionel przypomniał sobie, że gdy raz zabrała go do muzeum, bardzo przestraszył się mumii, a ona powiedziała mu, że mumie tak naprawdę nie są martwe, lecz mogą wychodzić ze swoich gablot po zamknięciu muzeum. Więc zapytał:

– A może mógłby być mumią?

Jego matka mylnie zrozumiała pytanie\* i później powtarzała to jako żart, a Lionel czuł się po prostu zbyt zniechęcony, by wyprowadzić ją z błędu. Zbyt zniechęcony, już jako małe dziecko, do całej tej wielkiej, trudnej sprawy zwanej komunikacją.

To było jedno z nielicznych wspomnień, które mu się zachowały.

Brendan się roześmiał; historyjka ubawiła go dużo bardziej niż Lornę czy Lionela. Z reguły przysiadł się do nich na chwilę,

\* Angielskie słowa *mummy* (mumia) i *mommy* (mama) wymawia się tak samo (przyp. tłum.).

pytając: „O czym tak rozprawiacie?”, ale zaraz potem wtrącał, że ma jeszcze coś do zrobienia, i z ulgą znikał we wnętrzu domu, jakby uczestnictwo w ich rozmowach było grzecznościowym obowiązkiem. Jakby cieszyła go ich zażyłość – w pewnym sensie przez niego przewidziana, zainicjowana – ale nie mógł przy nich długo usiedzieć.

– Dobrze mu robi, że tu przyjeżdża i może być przez chwilę normalny, zamiast tylko siedzieć w swoim pokoju – powiedział do Lorny. – I oczywiście leci na ciebie, biedny frajer.

Brendan lubił powtarzać, że mężczyźni lecą na Lornę, szczególnie po tym, jak na przyjęciu na wydziale okazało się, że Lorna jest najmłodsza z żon. Poczłaby się na pewno zakłopotana, gdyby ktoś usłyszał te jego słowa; jeszcze by to potraktował jako głupią przechwałkę i zachętę. Jednak czasami, szczególnie gdy była lekko wstawiona, podniecała ją – Brendana też – świadomość, że może się każdemu wydawać pociągająca. W przypadku Lionela była jednak prawie pewna, że tak nie jest, i miała gorącą nadzieję, że Brendan nigdy nie wypali z czymś podobnym w jego obecności. Pamiętała spojrzenie, jakie Lionel posłał jej ponad głową matki. Jakby umywał ręce, delikatnie ostrzegał.

Nie powiedziała Brendanowi o wierszach. Mniej więcej raz w tygodniu przychodził pocztą wiersz, w zwyczajnej, zaadresowanej do niej kopercie. Wiersze nie były anonimowe; Lionel je podpisywał. Jego podpis był tylko zygzakiem, dosyć trudnym do odcyfrowania – ale podobnie było z każdym słowem każdego wiersza. Na szczęście tych słów nigdy nie było wiele; czasami kilkanaście, nigdy nie więcej niż dwadzieścia parę. Tworzyły

na stronie dziwny trop, jak niewyraźne ślady ptaka. W pierwszej chwili Lorna nigdy nie potrafiła niczego odczytać. Odkryła, że najlepiej nie starać się za bardzo, tylko trzymać kartkę przed oczami i patrzeć na nią długo i spokojnie, jak w transie. Wtedy zwykle ukazywały się słowa. Nie wszystkie – w każdym wierszu były dwa lub trzy, których nigdy nie odgadła – ale nie miało to większego znaczenia. Brakowało znaków interpunkcyjnych poza myślnikami. Większość słów stanowiły rzeczowniki. Lorna nie należała do osób zupełnie nieobeznanych z poezją ani takich, które łatwo się poddają w obliczu czegoś, co w pierwszej chwili trudno zrozumieć. Ale o wierszach Lionela myślała w podobny sposób, w jaki myślała, dajmy na to, o buddyzmie – że są źródłem, z którego być może będzie umiała zaczerpnąć w przyszłości, ale na razie nie potrafi.

Po pierwszym wierszu przeżywała katusze, zastanawiając się, co powinna powiedzieć. Coś pochlebnego, ale nie głupiego. Jedynie, na co się zdobyła, to „Dziękuję ci za wiersz”, gdy Brendan był na tyle daleko, że na pewno nie mógł usłyszeć. Powstrzymała się przed dodaniem: „Podobał mi się”. Lionel kiwnął nerwowo głową i odchrząknął, zamykając temat. Listy z wierszami dalej przychodziły, ale już o nich nie wspominali. Zaczęła nawet myśleć, że powinna traktować je jako podarunki, a nie komunikaty. Ale nie podarunki od zakochanego – jak ktoś, na przykład Brendan, mógłby pomyśleć. Nie było w nich nic na temat uczuć, jakie Lionel do niej żywił, w ogóle nic osobistego. Przypominały jej ledwo widoczne ślady, jakie czasami można dostrzec wiosną na chodniku – zarysy mokrych liści, które leżały tu od zeszłego roku.

Była też inna sprawa, o wiele pilniejsza, o której nie wspomniała Brendanowi. Ani Lionelowi. Nie powiedziała, że przyjeżdża Polly. Polly, jej kuzynka, przyjeżdżała do nich w gości.

Polly była pięć lat starsza od Lorny i od czasu skończenia szkoły średniej pracowała w lokalnym oddziale banku. Już raz uzbierała prawie całą sumę pieniędzy potrzebną na taką wyprawę, ale postanowiła je wydać na zainstalowanie w piwnicy pompy odprowadzającej wodę gruntową. Tym razem była już w drodze, w autokarze. Wydawało jej się to czymś zupełnie naturalnym i właściwym: odwiedzić kuzynkę, męża kuzynki i całą ich rodzinę. Ale Brendan mógł uznać jej wizytę za narzucanie się, za coś, czego nie powinno się robić bez zaproszenia. Nie miał awersji do gości – wystarczy przypomnieć Lionela – ale chciał ich wybierać sam. Codziennie Lorna zastanawiała się, jak mu o tym powiedzieć. Codziennie to odkładała.

Nie mogła porozmawiać o tym z Lionelem. Z nim nie można było porozmawiać o niczym, co na serio traktowało się jako problem. Mówić o problemach oznaczało szukać rozwiązania, mieć nadzieję, że uda się je znaleźć. A to nie było ciekawe, nie świadczyło o interesującym stosunku do życia. Raczej o płytkim i nużącym optymizmie. Lionel nie lubił słuchać o zwykłych troskach i nieskomplikowanych emocjach – wolał rzeczy, które zupełnie nie mieściły się w głowie. Takie, które były zupełnie nie do zniesienia, a jednak ktoś je znosił, z ironią, nawet z uśmiechem.

Raz zaryzykowała i opowiedziała mu o tym, jak płakała w dniu ślubu, a nawet w trakcie samej ceremonii. Ale mogła przedstawić to jako coś zabawnego: bo gdy próbowała wyrwać rękę z uścisku Brendana, żeby wyjąć chusteczkę do nosa, on jej

nie puścił, więc przez całą uroczystość pociągła nosem. I przecież wcale nie płakała dlatego, że nie chciała wyjść za mąż, czy dlatego, że nie kochała Brendana. Płakała, bo wszystko w rodzinnym domu wydało jej się nagle takie drogie – mimo że zawsze zamierzała wyjechać – a ludzie, którzy tam pozostali, bliżsi niż ktokolwiek, nawet jeśli ukrywała przed nimi wszystkie swoje najbardziej osobiste myśli. Płakała, ponieważ poprzedniego dnia śmiały się z Polly, sprzątając szafki kuchenne i szorując linoleum, a ona udawała, że gra w sentymentalnej sztuce i żegna się – żegnaj, stare linoleum, żegnaj, pęknięty czajnik, żegnaj, miejsce, gdzie przyklejałam gumę pod stołem, żegnajcie.

Dlaczego nie powiesz mu, że nic z tego, pytała Polly. Ale oczywiście wcale tak nie myślała, była dumna, Lorna też była dumna; miała osiemnaście lat i nigdy nawet nie chodziła z nikim na poważnie, a tu, proszę, wychodzi za przystojnego trzydziestolatka, wykładowcę akademickiego.

Mimo to płakała wtedy i płakała jeszcze w pierwszych dniach małżeństwa, gdy czytała listy z domu. Brendan przyłapał ją na tym i powiedział:

– Kochasz swoją rodzinę, prawda?

Wydawało jej się, że w jego słowach słyszy współczucie.

– Tak, odpowiedziała.

Westchnął:

– Myślę, że kochasz ich bardziej niż mnie.

Odpowiedziała, że to nieprawda, tylko czasem jest jej żal rodziny. Było im ciężko. Babcia uczyła w szkole podstawowej, chociaż miała już tak słaby wzrok, że ledwo widziała, co pisze na tablicy, ciocia Beatrice była zbyt znerwicowana, żeby w ogóle

gdziekolwiek pracować, a jej ojciec – ojciec Lorny – pracował w sklepie żelaznym, którego nawet nie był właścicielem.

– Im? Ciężko? – skwitował to Brendan. – A byli w obozie koncentracyjnym?

Potem dodał, że ludzie muszą być twardzi i obrotni, bo taki już jest ten świat. A Lorna rzuciła się na małżeńskie łóżko w napadzie wściekłości i histerycznego płaczu, jaki czasami jej się zdarzał, choć teraz wołałaby o tym nie pamiętać. Brendan podszedł i zaczął ją uspokajać, ale i tak był przekonany, że rozplakała się, tak jak zawsze robią kobiety, gdy nie mogą zwyciężyć w dyskusji w inny sposób.

Lorna zapomniała już trochę, jak wygląda Polly. Że jest bardzo wysoka, ma długą szyję i wąską talię i jest prawie zupełnie płaska. Zatarł się jej w pamięci lekko sterczący okrągły podbródek i krzywe usta. Jasna skóra, jasnobrązowe, krótko obcięte włosy, delikatne jak puch. Polly wydawała się jednocześnie krucha i wytrzymała, jak stokrotka na długiej łodydze. Była ubrana w falbaniastą, wyszywaną dzinsową spódnicę.

Brendan wiedział o jej przyjeździe od czterdziestu ośmiu godzin. Zadzwoiła z Calgary, na koszt rozmówcy, a on akurat odebrał telefon. Potem zadał Lornie trzy pytania. Głosem chłodnym, ale spokojnym.

Na jak długo przyjeżdża?

Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Dlaczego zadzwoniła na koszt rozmówcy?

– Nie wiem – odpowiedziała Lorna.

Przygotowując obiad, Lorna starała się usłyszeć z kuchni, o czym mogą teraz rozmawiać. Brendan właśnie przyszedł. Nie usłyszała, co powiedział na powitanie, ale głos Polly był donośny i pełen nerwowej wesołości.

– Ale walnęłam gafę na powitanie, Brendan, zaczekaj, aż usłyszysz, co powiedziałam. Szliśmy z Lorną z przystanku, a ja jej mówię, o kurczę, mieszkasz w całkiem eleganckiej dzielnicy, Lorna, a potem mówię do niej tak: hej, spójrz na ten dom, co on tutaj robi? Wygląda jak stodoła.

gorzej nie mogła zacząć. Dom był dumą Brendana. Nowoczesny, zbudowany w stylu Post and Beam\*, charakterystycznym dla zachodniego wybrzeża. Tego typu domów nie malowano; zgodnie z zamierzeniem architektonicznym miały harmonijnie wtapiać się w miejscowe lasy. Dom na zewnątrz był więc prosty i funkcjonalny, z płaskim dachem wystającym poza ściany. Drewniana konstrukcja wewnętrzna pozostawała odsłonięta. Kominiek znajdował się w kamiennym przewodzie kominowym sięgającym do sufitu, a wysokie, wąskie okna nie miały zasłon. „Architektura jest na pierwszym miejscu”, oznajmił im budowniczy, a Brendan zawsze to powtarzał, podobnie jak słowo „współczesny”, ilekroć oprowadzał kogoś przy okazji pierwszej wizyty.

Nie zadał sobie trudu, żeby powiedzieć to Polly ani żeby wyciągnąć czasopismo, w którym był artykuł na temat tego stylu, ze zdjęciami, chociaż akurat nie ich domu.

\* Post and Beam – styl w architekturze amerykańskiej oparty na konstrukcji słupowo-ryglowej; dosł. „słup i belka” (przyj. tłum.).

Polly przywiozła z domu nawyk rozpoczynania zdań od imienia osoby, do której się akurat zwracała. „Lorna...” mówiła, lub „Brendan...”. Lorna odwykła już od takiego sposobu mówienia; teraz wydał jej się wręcz apodyktyczny i nieuprzejmy. Większość zdań wypowiedzianych przez Polly przy obiedzie zaczynała się od „Lorna...” i dotyczyła ludzi, których znały tylko one. Lorna wiedziała, że Polly nie jest rozmyślnie nieuprzejma, i że wkłada wielki wysiłek w to, by sprawiać wrażenie zrelaksowanej. Na początku próbowała włączyć do rozmowy Brendana. Obie próbowały, wyjaśniając – specjalnie ze względu na niego – kim jest ten, o kim właśnie rozmawiają. Jednak bez powodzenia. Brendan odzywał się tylko, by poprosić Lornę o przyniesienie czegoś z kuchni lub zwrócić jej uwagę, że Daniel zachlapał zupką podłogę wokół wysokiego krzeselka.

Polly nadal mówiła, gdy razem z Lorną sprzątała ze stołu po kolacji i gdy zmywały naczynia. Lorna zwykle kąpała dzieci i kładła je spać przed myciem naczyń, ale tego wieczoru była zbyt wytrącona z równowagi – czuła, że Polly jest bliska płaczu – by zachować utrwalony porządek wieczornej krzątaniny. Pozwoliła Danielowi raczkować po podłodze, podczas gdy Elizabeth, tak zawsze zainteresowana wizytami gości, szczególnie nowych, kręciła się w pobliżu, przysłuchując rozmowie. Ta trwała, dopóki Daniel nie przewrócił swojego wysokiego krzeselka – na szczęście nie na siebie, ale i tak rozryczał się ze strachu – i Brendan przyszedł z salonu.

– Chyba pora pójścia spać została przesunięta – powiedział, zabierając synka od Lorny. – Elizabeth, szykuj się do kąpieli.

Polly przeszła z opowiadania o znajomych z miasteczka do tego, jak się rzeczy miały w domu. Nie było dobrze. Właściciel

sklepu żelaznego – o którym ojciec Lorny zawsze mówił bardziej jak o koledze niż o pracodawcy – sprzedał sklep komu innemu, nie wspominając o swoich planach, aż było po fakcie. Nowy właściciel chciał rozszerzyć ofertę, a tymczasem cały rynek przejmowała Canadian Tire; nie było dnia, żeby nie sprowokował ojca Lorny do kłótni. Ojciec Lorny wracał ze sklepu tak wykończony, że przez resztę dnia tylko leżał na tapczanie. Nie czytał gazet, nie oglądał wiadomości. Pił sodę, ale nie chciał rozmawiać o bólach żołądka.

Lorna wspomniała, że w swoim liście ojciec opisywał te wszystkie kłopoty jako nic poważnego.

– Pewnie, a co miał niby powiedzieć – odrzekła Polly. – Tobie.

Utrzymanie obu domów, ciągnęła Polly, to był jeden wielki koszmar. Wszyscy powinni się wprowadzić do jednego i sprzedać drugi, ale babcia, teraz, gdy przeszła na emeryturę, bez przerwy czepiała się o wszystko matki Polly, a ojciec Lorny nie mógł znieść myśli o mieszkaniu z nimi dwiema pod jednym dachem. Polly już nie raz chciała się wynieść i więcej nie wrócić, ale co oni by bez niej zrobili?

– Powinnaś żyć własnym życiem – powiedziała Lorna. Dziwnie się czuła, udzielając rad Polly.

– No jasne – odrzekła Polly. – Powinnam się była wyprowadzić, gdy wszystko jakoś się układało, tak, powinnam. Ale kiedy był taki moment? Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek było jakoś szczególnie dobrze. No i przecież musiałam zostać i opiekować się tobą, dopóki nie skończyłaś szkoły.

Lorna nadała swojemu głosowi ton współczucia i zyczliwości, ale nie przerwała krzątaniny, by poświęcić słowom Polly

należną uwagę. Przyjmowała je tak jakby dotyczyły ludzi, których znała i lubiła, ale za których nie była odpowiedzialna. Pomyślała o swoim ojcu leżącym wieczorami na tapczanie i łykającym proszki na bóle żołądka, do których nie chciał się przyznać, i o cioci Beatrice w sąsiednim domu, zamartwiającej się tym, co ludzie o niej opowiadają, że śmieją się z niej za jej plecami i wypisują coś o niej na ścianach. Płaczącej, bo w kościele wystawał jej rąbek halki. Myślenie o domu sprawiało Lornie ból, ale nie mogła się pozbyć wrażenia, że Polly się do niej do bija, próbuje wymusić na niej coś na kształt kapitulacji, uwikłać ją w swoje prywatne nieszczęście. I zaparła się, że nie ulegnie.

*Spójrz na siebie. Spójrz na swoje życie. Na swój zlew z nierdzewnej stali. Na swój dom, w którym architektura jest na pierwszym miejscu.*

– Gdybym teraz się wyprowadziła, chyba czułabym się winna – powiedziała Polly. – Nie zniosłabym tego. Miałabym poczucie winy, że tak ich zostawiam.

*Oczywiście niektórzy ludzie nigdy nie czują się winni. Niektórzy ludzie nigdy niczego nie czują.*

– No i co, niezły łańcuch nieszczęść – odezwał się Brendan, gdy leżeli obok siebie po ciemku.

– Gryzie się tym wszystkim – powiedziała Lorna.

– Tylko pamiętaj: nie jesteśmy milionerami.

Lorna była zszokowana.

– Ona nie chce pieniędzy.

– Czyżby?

– To nie dlatego mi o tym opowiada.

– Nie bądź taka pewna.

Leżała nieruchomo, nic nie mówiąc. Potem przypomniało jej się coś, co mogło mu poprawić nastrój.

– Przyjechała tylko na dwa tygodnie.

Tym razem on nic nie odpowiedział.

– Nie sądzisz, że jest ładna?

– Nie.

Chciała mu właśnie opowiedzieć, że to Polly przygotowała jej ślubną sukienkę. Lorna zamierzała włożyć na tę okoliczność granatowy kostium, ale parę dni przed ślubem Polly powiedziała: „To się nie nadaje”. I wyciągnęła z szafy swoją sukienkę balową ze szkoły średniej (Polly zawsze miała większe powodzenie niż Lorna, chodziła na tańce). Wstawiła klipy z białej koronki i doszyła białe koronkowe rękawy. Bo panna młoda, powiedziała, nie może mieć sukienki bez rękawów.

Ale czy to go w ogóle obchodzi?

Lionel wyjechał na kilka dni. Jego ojciec przeszedł na emeryturę i Lionel pomagał mu w przeprowadzce z miasteczka w Górach Skalistych na wyspę Vancouver. Dzień po przyjeździe Polly Lorna dostała od niego list. Nie wiersz, tylko prawdziwy list, co prawda bardzo krótki.

*Śniło mi się, że jedziesz ze mną na rowerze. Jechaliśmy dosyć szybko. Nie wyglądałaś na przestraszoną, chociaż być może powinnaś. Nie wolno nam ulec pokusie interpretacji.*

Brendan wyszedł wcześniej rano. Prowadził zajęcia na kursach wakacyjnych i powiedział, że zje śniadanie w kafeterii. Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Polly wynurzyła się ze swojego pokoju. Zamiast falbaniastej spódnicy miała dzisiaj luźne spodnie i przez cały czas się uśmiechała, jakby sama do siebie. Pochylała lekko głowę, starając się unikać wzroku Lorny.

– Lepiej pójde obejrzeć sobie Vancouver – powiedziała – bo raczej się nie zapowiada, żebym miała tu jeszcze kiedyś przyjechać.

Lorna zaznaczyła jej kilka miejsc na planie, wytłumaczyła, jak tam dotrzeć, i przeprosiła, że się z nią nie wybierze, ale przy dwójce małych dzieci byłoby z tym więcej kłopotu niż pożytku.

– No co ty, wcale tego nie oczekiwałam. Nie przyjechałam tutaj, żeby ci bez przerwy głowę zawracać.

Elizabeth wyczuła wiszące w powietrzu napięcie, bo zapytała:

– Dlaczego jest z nami kłopot?

Lorna położyła Daniela spać przed południem trochę wcześniej niż zwykle, a gdy się zbudził, posadziła go do wózka i powiedziała Elizabeth, że idą na plac zabaw. Wybrała jednak inny, nie ten w parku obok, ale w pobliżu ulicy, przy której mieszkał Lionel; musieli zejść ze wzgórza, żeby tam dotrzeć. Lorna знаła jego adres, chociaż nigdy nie widziała tego domu. Wiedziała, że mieszkał w domku jednorodziwym, a nie w bloku. Zajmował pokój na piętrze.

To nie było daleko od nich – chociaż na pewno powrót zajmie jej więcej czasu, bo będzie musiała pchać wózek pod górkę. Znajdowała się już w starszej części Vancouver, gdzie mniejsze domy tłoczyły się na węższych parcelach. Dom, w którym mieszkał

Lionel, miał dwie tabliczki z nazwiskami obok dzwonek. Na jednej widniało nazwisko Lionela, na drugiej: B. Hutchinson. Wiedziała, że pani Hutchinson jest właścicielką. Nacisnęła dzwonek.

– Wiem, że Lionel wyjechał, i przepraszam, że sprawiam kłopot – powiedziała. – Ale pożyczyłam mu książkę, z biblioteki, a właśnie minął termin oddania. Może mogłabym zajrzeć na moment do jego pokoju i zobaczyć, czy nie leży gdzieś na wierzchu?

– Aha – burknęła właścicielka. Była to stara kobieta z rozległymi plamami wątrobianymi na twarzy. Czoło miała przewiązane bandanką.

– Mój mąż i ja jesteśmy znajomymi Lionela. Mąż był jego wykładowcą na uniwersytecie.

Słowo „wykładowca” zawsze pomagało. Lorna dostała klucz. Zaprowadziła wózek do cienia pod domem i kazała Elizabeth zostać i pilnować Daniela.

– To nie jest plac zabaw – powiedziała dziewczynka.

– Muszę tylko po coś pójść i zaraz wrócę. Tylko na minutkę, dobrze?

W pokoju Lionela w małej wnęce znajdowała się kuchenka gazowa z dwoma palnikami i kuchenna szafka. Nie było lodówki ani zlewu, tylko umywalka w ubikacji. Poza tym roleta spuszczone do połowy okna i kwadrat linoleum, którego wzór zamalowano brązową farbą. W powietrzu unosił się słaby zapach gazu z kuchenki, niewietrzonych zimowych ubrań, potu, i jakichś sosnowych tabletek na kaszel, których woń, skądinąd przyjemna, kojarzyła jej się z zapachem, jakim pachniał z bliska Lionel.